

[horyzont dzieła]

Oskar Alexandrowicz: Z dworu ślepej bogini

Sądowy budynek stał na wzniesieniu przy drodze wiodącej z kolejowego dworca. Zbudowany z surowej cegły, podobny zarówno do kościoła, jak kasarni, spoglądał na miasto i czuwał nad jego porządkiem i spokojem.

Od rana do późnego wieczoru wrzało w nim jak w ulu. Gromady ludzi wchodziły i wychodziły wielkimi drzwiami, na jezdni ciągle zajeżdżały i stały pojazdy, a na szerokich schodach bawiły się, czekając na rodziców, dzieci i cisnął się tłum żebraków oraz głośno wykrzykujących przekupniów.

Wewnątrz, w przestronnych, jasnych salach toczyły się rozprawy, a wąskie korytarze zapchane były wyczekującymi swojej kolei stronami.

Chłopi, zamieszcowi kupcy, Żydzi, robotnicy, często zagraniczni kapitaliści, rzeczoznawcy, kierownicy kopalń, właściciele przedsiębiorstw i urzędnicy dźwigający wielkie książki stali albo siedzieli, wywodząc namiętnie słuszność lub bezzasadność rozszczeń, wyśmiewając się nawzajem, przygotowując do wystąpienia przed sądem, opowiadając anegdoty albo zawierając interesy. Wśród nich latali adwokaci i koncypienci z grubymi „koszulkami” w ręce, urzędnicy, sekretarze i brzęczące jak jaskrawe muszki panienki kancelaryjne, pilnując spraw, w których występowali, a których nieraz kilka równocześnie rozpatrywano w różnych salach, szukając się nawzajem, czytając listy i telegramy, wydając zlecenia i naradzając się lub sprzecząc.

Dwaj ludzie odgrywali w hałaśliwym życiu sądowego korytarza swoistą rolę. Jeden z nich, Feigenbaum, chudy Żyd nieokreślonego wieku z capią, trzęsącą się bródką miał na sprzedaż Boga. Drugi, Jukiel, roznosił precle.

Jeżeli Żyd występujący przed sądem jako świadek albo strona miał złożyć przysięgę, wówczas wedle zwyczaju przestrzeganego od wielu lat przysługiwało

OSKAR ALEXANDROWICZ

Z dworu ślepego bogini.

Sądowy budynek stał na wzniesieniu, przy drodze wiodącej z kolejowego dworca. Zbudowany z surowej kamienicy, podobny do zwykłego kamienia, jak kasał, spoglądał na miasto z czuwalnad jego porządkami i spokojem.

Od rana do późnego wieczoru drzwi w tym jak w ulu. Gromady ludzi wchodziły i wychodziły wielkimi drzwiami, na jedni ciągnęli zaskafelowane i stały posady, a na szeroki schodach bawili się czekając na rodziców dzieci i cinali się tłum zebraków oraz głomno wykrzykujących przelupków.

Wewnątrz, w przestronnych, jasnych salach toczyły się rozprawy, a wąskie korytarze zapchane były wycozującymi swojej koleji stronomi.

Chłopi, zamieszcowi kupcy, Żydzi, robotnicy, często zagranicami kapitałisci, rozroznawcy, kierownicy kopalni właściciele przedsiębiorstw i urzędnicy odciągający wielkie książki, stali albo siedzieli, wywołując namieszanie słusznosc lub bezsensowne rozgłosy, wymieniając się nazwiskami, przygotując do wystąpienia przed sądem, o powiadając anegdoty, albo zawierając interesy. Wśród nich latali adwokaci i koncyepiści z grubymi „koszulkami” w ręce, zarabiając setki i setki i brzojcząc jak jaskrawe muszki panienki kancelaryjne, pilnując spraw, w których występowali, a których nieraz kilka równocześnie rozprawy w różnych salach sądu, a w innych, gdzie istniały listy i telegramy, wydając zlecenia i naradzając się lub sprzecząc.

Dwaj ludzie odgrzywali w halach w tym życiu sądu korytarza awolując się ręką. Jeden z nich, Feigenbaum, chudy Żyd nieokrzesanego widać z capia, trzęsąc się bródką miał na sprzedaż Boga. Drugi, Jukiel rozsołił przed siebie.

Jedeli Żyd występował przed sądem jako świadek albo strona miał coś żyć przysięgą, wówczas wiele zwycięża przestraszanego od wielu lat, przysięgał w niesamowitą sprawę prawo żądać, ażeby przysięgał na „wielką złość”. Chociaż wiec na każdym egziowostkim etole leżał obok krzyża przysięgowy do użytku picioksiąg, to jednak używano bardzo często do rytuału przysięgi rodoląg, gdyż z czasem wyrobiło się przekonanie, że przysięga, złożona „na wielką tortę” jest świętsza i bardziej powołana, jak ślubowanie złożone na kielisze.

Nie rodądy jednakże, lecz Feigenbaum zamieniał „wielką przysięgę” w akt wznieśli i straszny. On to wydobywał z niej powagę i surowość, otamajł jej nastrojem, który upromiował przysięgającym grozę chwili i walczył proceduralny przepa w mistyczny obrzęd.

Instynktownie niemal umiał wyrobić sprawy, po których można się było spodziewać, że przyjdzie do „wielkiej przysięgi”. Były to procesy spadkowe między członkami kłębry z nowo wzbogaconymi rodzinami, albo oskarżenie o zniewagi wnoszone przez sąd przed ludzi podjęcejanej kondyty, przewlekłe spory bogatych kamieniczników o mur graniczny czy prawo przechodu, zajadłe, nieraz przez dwa pokolenia prowadzone sprawy o prawa poboru sztru, wreszcie lenienie i lecz gwałtownie wchodziło do dojeżdża do skutku kupna udziałów kopalinianych. Jak zwierzę czuchające w zasadzie wycozkiwał Feigenbaum cały w napięciu odpowiadając na pytanie, czy zawieszona na „wielką tortę”. Z surową, powściągliwą twarzą stał wyciągnął ku sędziemu zapytanie i skoro tylko padało pytanie odpowiadał, rozpoczynał wywóz misasnowitą czynność, która czyniła z niego na przeciąg najbliższych kilkunastu minut główną osobę rozprawy, a nieraz nawet — jak to zobaczymy — składała w jego ręce — rozstrzygnięciem sporu. Przewlekle wchodził z zaudarzą i pospiesznie nakładł zabruszoną czapkę, dając tym do po-

znania, że przemienia się w osobę u-przywiejowaną, że przestaje teraz być Feigenbaumem, a staje się stróżem prawdy i powiernikiem prawa. Oblesny pół drzewy a pół woszczący, w ciemnych wykwiał na jego ustach. Kiwając głową, rzucał krótkie spojrzeenie na stojącego przed sędziowskim stołem świadka, jakoby chciał do niego powiedzieć: „widział czegoś się dogrygał” i wybiegał do zakamarku, w którym przechowywał torę. Wnosł ją na sale rozpraw w czarnym, dumnianym pudle podobnym do schowku na skrzypce albo do maski trumienki i stawał na stole przed sędzią i przechylał głowę na prawe ramię, szukał kluczykiem otworu zamku. Nie odchyłał jednak wieka mimo że sędzia wid-



ził już bieret, świadek ubrał kapelusza i obcy na sali ciężko podniósł się z ławek. Objawy lewa ręka czarne pudło, a prawa dłoń trzymając na jego zamku, patrzył pełen pogardy na mającego przysięgać. W capia, trzęsąc się bródkę niezdolny jakichś ciche słowa, niewiadomo modlił czy kabalistyczne zaklęcia i dopiero na niecierpliwie przyprowadzono sędziego, wskazywał złotym chudym palcem na rękę swojej ofiary. Znacząco to, że świadek na umyć ręce zanim dotknęło piśmo święte. Potem chwycił nieregularnego tej mimiki ale zmieszającego nią za rękaw i prowadził do przedsonka ustępa, gdzie stała kłonek z wodą i wiał wiecznie brudny ręcznik.

Cdy następnie wracał do sali, otwierał pudło, wyjmował z niego zawinięty w sukienkę rodal, jak najpierw sam całował a następnie czekającemu do ucalowania podawał, jak rozwiał żwół, akładał palcami przysięgającego na przepięsianych słowach brudnych i już prawie nieczytelnych od częstego dotykania ich, jak swoim przenikliwym wzrokiem, odgadując jak się zdawało każdą choćby najmańszą utajoną myśl powtarzającego rotę przysięgi wpatrywał się w jego twarz sięgając na samo dno sumienia i bacząc równocześnie na to, ażeby lewa dłoń leżała owarta na barierze — to opisać przechodzi moje zdolności! Feigenbaum wznosił się w tych chwilach na najwyższy szczyt swojego zadania, stawał się Wielkim Inkwizytorem, niezłomnym a strasznym strażnikiem prawdy przysięgającego na przysięgającego na wypadek, gdyby ślubowania nie dotrzymał i zenał nieprawdę.

Po ukończeniu przysięgi zdejmował szybko czapkę, chwycił rodoląg i obojczy zapłate, o której wysokość nigdy się nie targował, odnosił czarne pudło do mrocznego zakamarku. Tutaj, wśród mroku, splotaczek, polan grzevia i innych rekawców, przetrzymywał jeszcze swoje władania. Ustawiając na półce czarny futerał, chichotał i pomrukiwał, naśladował ruchy i głos sędziego, sron lub świadka, wzdychał i rozkładał ręce. Wreszcie cęsał się spoczęt, zaszkał pasek podpasąją podnie i wyczołwżył gruntownie w dwa palce nos, zamurzał się znowu w tłum falujący na korytarzu.

To wstępy Feigenbaum odgrzywał w polityce procesowej i psychologii prawdy, o której wysokość nigdy się nie targował, odnosił czarne pudło do mrocznego zakamarku. Tutaj, wśród mroku, splotaczek, polan grzevia i innych rekawców, przetrzymywał jeszcze swoje władania. Ustawiając na półce czarny futerał, chichotał i pomrukiwał, naśladował ruchy i głos sędziego, sron lub świadka, wzdychał i rozkładał ręce. Wreszcie cęsał się spoczęt, zaszkał pasek podpasąją podnie i wyczołwżył gruntownie w dwa palce nos, zamurzał się znowu w tłum falujący na korytarzu.

w ręce Feigenbaum.

Bywały wypadki, że świadkowie płačili z własnej kiecezi całą zakazaną kwotę, kiedy żądano od nich złożenia przysięgi na wielką tortę. Przez długie lata pamiętano też, jak niejąca już dziesiąt Dwójra Rosenbaum zemściła w sądzie podczas składania „wielkiej przysięgi” i same opowiadała potem, że z pod czapki Feigenbaum, kiedy trzymał jej ramiona na torze, wylaływały płomyci. A i dwójra Rosenbaum nie awolła, przeciw do tohórzytelny Raz nawi: podobnie miał ktoś umarł podczas składania przysięgi przy której uszytał Feigenbaum! Ale czasos pewnego nie można się było o tym, zresztą prawdopodobnym wypadku dowiedzieć, tym bardziej, że sam Feigenbaum nigdy o nim mówić nie chciał.

A jednak byli także i tacy, którzy nie tylko nie bali się Feigenbaum, lecz nawet jawnie z niego kpili. Któż to mógł być inny, jak baluugi, łobocy „pacycy braci” z Borzwawia! Feigenbaum wzał ich szczególności na karb i zadawał sobie przez długi czas wiele trudu ażeby ich zgnębił i zmusił do szanowania „wielkiej przysięgi”.

Był oprócz „polskich braci” jeszcze ktoś, kto nie uznawał, a nawet nie widział Feigenbaum. Jukiel nie mógł przezwycięzić swojego wstrętu do niego, mimo że od lat spełniał nim na korytarzu po kilka godzin dziennie. Jukla znał adwokaci i sędziowie przez czasos, kiedy sprzedawał przecie wielu pokolezionek tuzinów gimnazjalny. Ale kiedy starał się wyzwać „Grzybek” pro-



nosił się do wieczności, a żona nowego zaczęła robić Juklowi konkurencję, zaczął się do sądu. Przebraw w starą, aksaminną kokieszę i szeroki wuluro-pół kapelusza, szwiał się Jukiel punktualnie o godzinie dziesiątej na korytarzu sądu z koszem wypełnionym świeżymi preclami. Nigdy nie salcał swego towaru i nie zabiegał do kupna. Pełen godności, z pół przynikniętymi oczyma, chodził powolnym krokiem po korytarzach albo siedział w kącie, po-grążony w jakichś ciężkich rozmyśleniach. Ozywał się tylko, kiedy w pobliżu niego przemykał Feigenbaum z tora. Wciążas zrywał się z ławki i wśród niezrozumiałych pomruków, rzucając nienawistne spojrzeenie, przedzierał się przez tłum i przonoł na inne piętro albo w dalszą część korytarza.

Nikt nie byłoby dowiedział się, że Jukiel nazywa się Major, gdyż całe miasto znało go tylko po imieniu, gdyby nie proces. Tak jest, Jukiel miał proces — i do tego kam! Powiedzy otwarcie: był skazony przez swojego zięcia. Jukiel wydał mianowicie jedną ze swoich córek za handlarza starzyzna. Ale młodemu małżonkowi rychło sprzykrzyło się chodząc po podwórkach i wolał „handele”, zaczął więc również sprzedawać przecie. Początko rozumiał je tylko po domy, ale wkrótce zjawiał się także na korytarzu sądownym. Jukiel zniósł to ze stoickim spokojem. iKedy jednak młody konkurent zaprzęgnął rozzerzyć swoje przedsiębiorstwo i w korytarzu Jukla Nr. 2 — jak go powszechnie nazywano — obok precliz znalazły się także owoce i cukierki, a nieodkryte stemple, wybuchł konflikt nie-

zwycie gwałtownie i przybrał nawał formy nazwane w szwoczym kodeksie karnym obrazem honoru. Jukiel natychmiast się nawożenie w korytarza na zięcia w chwili, gdy ten sprzedawał potajemnie papierosy, znieświatł go słownie i czynnie, przy czym na twarzy zięcia pozostawił widome ślady tej znieświatki.

Zajście to podzieliło sądowych wywalców na dwa oboje. Podczas gdy jedni chwaliłi pomysłodawcę Jukla Nr. 2 i deklarowali się jako bezwzględni zwolennicy wolnego handlu i niesterfowności, zjadłi druzyi stanowco ochrone dobre nabytych praw Jukla Nr. 1. O godzinie, na którą wyznaczona była rozprawa w Juklu, zebrały się na sali sądowej i korytarzu istne słumy. Jukiel Nr. 2 wy-



korzystał skwapliwie koniunkturę i opowiadając otaczającym go o przebiegu zajścia i doznanej krzywdzie, sprzedawał pugilarski i lusterka. W kącie siedział nastrozony i milczący Jukiel Nr. 1. W pewnym momencie zdawał się nawet, że groźną nowo zawilkania, gdyż obrócił dobrze nabytych praw grozi, że zażądają od przeciwnika „wielką przysięgę”. Napiecie dosięgło temtu, kiedy na sali zjawiał się Feigenbaum — ale mimo to udało się sędziemu zakończyć spór ugody, która wszystkich zadowolila. Jukiel pogodził się z zięciem i odstąpił mu doborowość za swoich dobrze nabytych praw parter, na którym znajdowała się księga naftowa oraz mieścił się urząd podatkowy, a dla siebie zatrzymał honorowe pierwsze piętro z przysięganym biurem, cudownym karbodem gablietem lekarzy i wydziałami karnymi oraz drugie piętro, na którym mieściły się sale rozpraw cywilnych.

Urodziło się spianco do akta. Układali ją kilkunastu właśnie wówczas na sali obecnycy adwokaci, a sam słynny mecnas Sokół uważał na to, ażeby być, jak mówić, krótka i jasna. Najpierw odłożył mu doborowość za swoich dobrze nabytych praw i wydziałami karnymi oraz drugie piętro, na którym mieściły się sale rozpraw cywilnych.

Urodziło się spianco do akta. Układali ją kilkunastu właśnie wówczas na sali obecnycy adwokaci, a sam słynny mecnas Sokół uważał na to, ażeby być, jak mówić, krótka i jasna. Najpierw odłożył mu doborowość za swoich dobrze nabytych praw i wydziałami karnymi oraz drugie piętro, na którym mieściły się sale rozpraw cywilnych.



adwokackiego synderałonu wszystkie nauważające się wpliotności wprawdzie nie zgodnie, lecz głośniejszym notiesie stemple, wybuchł konflikt nie-

Cztery ilustracje Brunona Schulza do opowiadania Oskara Alexandrowicza Z dworu ślepego bogini („Chwila” 1937, nr 6632)

uczestnikom sprawy prawo żądać, ażeby przysięgał na „wielką Torę”. Chociaż więc na każdym sędziowskim stole leżał obok krzyża przygotowany do użytku pięcioksiąg, to jednak używano bardzo często do rytuału przysięgi rodaków, gdyż z czasem wyrobiło się przekonanie, że przysięga złożona „na wielką Torę” jest świętsza i bardziej poważna jak ślubowanie złożone na książkę.

Nie rodąły jednakże, lecz Feigenbaum zamieniał „wielką przysięgę” w akt wzniosły i straszny. On to wydobywał z niej powagę i surowość, otaczał ją nastrojem, który uprzytomniał przysięgającemu groźbę chwili i zmieniał proceduralny przepis w mistyczny obrzęd.

Instynktownie niemal umiał wytropić sprawy, po których można się było spodziewać, że przyjdzie w nich do złożenia „wielkiej przysięgi”. Były to procesy spadkowe między członkami którejś z nowo wzbogaconych rodzin albo oskarżenie o zniewagę wnoszone przed sąd przez ludzi podejrzaną konduity, przewlekłe spory bogatych kamieniczników o mur graniczny czy prawo przechodu, zajadłe, nieraz przez dwa pokolenia prowadzone sprawy o prawa poboru szutru, wreszcie krótkie, lecz gwałtowane sprzeczki o dojście do skutku kupna udziałów kopalnianych. Jak zwierz czyhający w zasadzce wyczekiwał Feigenbaum cały w napięciu odpowiedzi na pytanie, czy zarządzone przez sędziego przysięga ma być złożona na „wielką Torę”. Z surową, pobladłą twarzą stał, wyciągnąwszy ku sędziemu szyję, i skoro tylko padła potakująca odpowiedź, rozpoczynał swoją niesamowitą czynność, która czyniła z niego na przeciąg najbliższych kilkunastu minut główną osobę rozprawy, a nieraz nawet – jak to zobaczymy – składała w jego ręce rozstrzygnięcie sporu. Przede wszystkim wyciągnął z zanadrza i pośpiesznie nakładał zatuszczoną czapeczkę, dając tym do poznania, że przemienia się w osobę uprzywilejowaną, że przestaje teraz być Feigenbaumem, a staje się stróżem prawdy i powiernikiem prawa. Obleśny pół drwiący, a pół współczujący uśmiech wykwitał na jego ustach. Kiwając głową, rzucał krótkie spojrzenia na stojącego przed sędziowskim stołem świadka, jak gdyby chciał do niego powiedzieć: „wiesz, czegoś się dograł?”, i wybiegał do zakamarku, w którym przechowywał Torę. Wnosił ją na salę rozpraw w czarnym drewnianym pudle, podobnym do schowku na skrzypce albo do małej trumienki, stawiał na stole przed sędzią i przechylając głowę na prawe ramię, szukał kluczykiem otworu zamku. Nie odchyłał jednak wieka, mimo że sędzia włożył już biret, świadek ubrał kapelusz, a obecni na sali ciężko podnieśli się z ławek. Objąwszy lewą ręką czarne pudło, a prawą dłoń trzymając na jego zamku, patrzył pełen pogardy na mającego przysięgać. W capią, trzęsącą się bródkę szeptał jakieś ciche słowa, nie wiadomo, modlitwę czy kabalistyczne zaklęcia, i dopiero na niecierpliwie przypomnienie sędziego wskazywał żółtym chudym palcem na rękę swojej ofiary. Znaczyło to, że świadek ma umyć ręce, zanim dotknie pismo święte. Potem chwycił nierozumiejącego tej mimiki, ale zmieszanego nią za rękaw i prowadził do przedśionka ustępu, gdzie stała konewka z wodą i wisiał wiecznie brudny ręcznik.

Gdy następnie wracał do sali, otwierał pudło, wyjmował z niego zawinięty w sukienkę rodal, jak go najpierw sam całował, a następnie czekającemu do ucałowania podawał, jak rozwijał zwój, układał palce przysięgającego na przepisanych słowach brudnych i już prawie nieczytelnych od częstego dotykania ich, jak swoim przenikliwym wzrokiem, odgadując, jak się zdawało, każdą choćby najbardziej utajoną myśl powtarzającego rotę przysięgi, wpatrywał się w jego twarz, sięgając na samo dno sumienia i bacząc równocześnie na to, ażeby lewa dłoń leżała otwarta na barierze – to opisać przechodzi moje zdolności! Feigenbaum wznosił się w tych chwilach na najwyższy szczyt swojego zadania, stawał się Wielkim Inkwizytorem, niezłomnym a strasznym strażnikiem prawdy, żywym przypomnieniem pomsty, która spaść miała na przysięgającego na wypadek, gdyby ślubowania nie dotrzymał i zeznał nieprawdę.

Po ukończeniu przysięgi zdejmował szybko czapeczkę, chował rodaly i odebrawszy zapłatę, o której wysokość nigdy się nie targował, odnosił czarne pudło do mrocznego zakamarku. Tutaj, wśród mioteł, spluwaczek, polan drzewa i innych rekwizytów, przeżywał raz jeszcze swoje wrażenia. Ustawiając na półce czarny futerał, chichotał i pomrukiwał, naśladował ruchy i głos sędziego, stron lub świadka, wzdychał i rozkładał ręce. Wreszcie ocierał spocone czoło, zaciskał pasek podpasujący spodnie i wyczyściwszy gruntownie w dwa palce nos, zanurzał się znowu w tłum falujący na korytarzu.

Te występy Feigenbauma odgrywały w polityce procesowej i psychologii zeznań niepoślednią rolę. Zawsze można było liczyć na wrażenie, które osoba jego wywoływała, a wieść o nim sięgała także poza mury sądu. Często nie wnoszono uzasadnionych pozwów tylko dlatego, bo nie chciano spotkać się z nim przy składaniu przysięgi; w sąsiedzkich kłótniach grozono sobie słowami: „już ty wpadniesz przeze mnie w ręce Feigenbauma”.

Bywały wypadki, że świadkowie płacili z własnej kieszeni całą zaskarżoną kwotę, kiedy zażądano od nich złożenia przysięgi „na wielką Torę”. Przez długie lata pamiętano też, jak nieżyjąca już dzisiaj Dwojra Rosenbaum zemdłała w sądzie podczas składania „wielkiej przysięgi” i sama opowiadała potem, że spod czapeczki Feigenbauma, kiedy trzymał jej palce na torze, wylatywały płomyki. A Dwojra Rosenbaum nie należała przecież do tchórzliwych! Raz nawet podobno miał ktoś umrzeć podczas składania przysięgi, przy której asystował Feigenbaum! Ale czegoś pewnego nie można się było o tym zresztą prawdopodobnym wypadku dowiedzieć, tym bardziej że sam Feigenbaum nigdy o nim mówić nie chciał.

A jednak byli także i tacy, którzy nie tylko nie bali się Feigenbauma, lecz nawet jawnie z niego kpili. Któż to mógł być inny, jak bałaguli, łebacy i „polscy bracia” z Borysławia! Feigenbaum wziął ich szczególnie na karb i zadawał sobie przez długi czas wiele trudu, ażeby ich zgnębić i zmusić do szanowania „wielkiej przysięgi”.

Był prócz „polskich braci” jeszcze ktoś, kto nie uznawał, a nawet nienawidził Feigenbauma. Jukiel nie mógł przezwyciężyć swojego wstrętu do niego, mimo że od lat spędzał z nim na korytarzu po kilka godzin dziennie. Jukla znali adwokaci

i sędziowie jeszcze z czasów, kiedy sprzedawał precle wielu pokoleniom uczniów gimnazjalnych. Ale kiedy stary tercjan Mikołaj vulgo „Grzybek” przeniósł się do wieczności, a żona nowego zaczęła robić Jukłowi konkurencję, porzucił on gmach gimnazjalny i przeniósł się do sądu. Przybrany w starą aksamitną bekieszę i szeroki welurowy kapelusz, zjawił się Jukiel punktualnie o godzinie dziesiątej na korytarzu sądu z koszem wypełnionym świeżymi preclami. Nigdy nie zalecał swego towaru i nie zachęcał do kupna. Pełen godności, z półprzymkniętymi oczyma, chodził powolnym krokiem po korytarzach albo siedział w kącie, pogrążony w jakichś ciężkich rozmyślaniach. Ożywiał się tylko, kiedy w pobliżu niego przemykał Feigenbaum z Torą. Wtenczas zrywał się z ławki i wśród niezrozumiałych pomruków, rzucając nienawistne spojrzenia, przedzierał się przez tłum i przenosił na inne piętro albo w dalszą część korytarza.

Nikt nie byłby dowiedział się, że Jukiel nazywa się Major, gdyż całe miasto znało go tylko po imieniu, gdyby nie proces. Tak jest, Jukiel miał proces – i do tego karny! Powiedzmy otwarcie: był skarżony przez swojego zięcia. Jukiel wydał mianowicie jedną ze swoich córek za handlarza starzyzną. Ale młodemu małżonkowi rychło sprzykrzyło się chodzić po podwórzach i wołać „handele”, zaczął więc również sprzedawać precle. Początkowo roznosił je tylko po domach, ale wkrótce zjawił się także na korytarzu sądowym. Jukiel zniósł to ze stoickim spokojem. Kiedy jednak młody konkurent zapragnął rozszerzyć swoje przedsiębiorstwo i w koszyku Jukla nr 2 – jak go powszechnie nazwano – obok precli znalazły się także owoce i cukierki, a w notesie stemple, wybuchł konflikt niezwykle gwałtownie i przybrał nawet formy nazwane w ówczesnym kodeksie karnym obrazą honoru. Jukiel, natknąwszy się mianowicie w korytarzu na zięcia w chwili, gdy ten sprzedawał potajemnie papierosy, znieważył go słownie i czynnie, przy czym na twarzy zięcia pozostawił widome ślady tej zniewagi.

Zajście to podzieliło sądowych bywalców na dwa obozy. Podczas gdy jedni chwalili pomysłowość Jukla nr 2 i deklarowali się jako bezwzględni zwolennicy wolnego handlu i nieinterwencji, żądali drudzy stanowczo ochrony dobrze nabytych praw Jukla nr 1. O godzinie, na którą wyznaczona była rozprawa Jukłów, zebrały się na sali sądowej i korytarzu istne tłumy. Jukiel nr 2 wykorzystał skwapliwie koniunkturę i opowiadając otaczającym go o przebiegu zajścia i doznanej krzywdzie, sprzedawał pugilaresy i lusterka. W kącie siedział nastroszony i milczący Jukiel nr 1. W pewnym momencie zdawało się nawet, że grożą nowe zakłócenia, gdyż obrońcy dobrze nabytych praw grozili, że zażądają od przeciwnika „wielkiej przysięgi”. Napięcie dosięgło zenitu, kiedy na sali zjawił się Feigenbaum – ale mimo to udało się sędziemu zakończyć spór ugodą, która wszystkich zadowolila. Jukiel pogodził się z zięciem i odstąpił mu dobrowolnie za swoich dobrze nabytych praw parter, na którym znajdowała się księga naftowa oraz mieścił się urząd podatkowy, a dla siebie zatrzymał honorowe pierwsze piętro z prezydialnym biurem, cuchnącym karbolem gabinetem lekarzy i wydziałami karnymi oraz drugie piętro, na którym mieściły się sale rozpraw cywilnych.

Ugodę tę spisano do akt. Układało ją kilkunastu właśnie wówczas na sali obecnych adwokatów, a sam słynny mecenas Sokół uważał na to, ażeby była, jak mówił, krótka i jasna. Najpierw określono dokładnie dobrze nabyte prawa i wyszczególniono te ich części, które Jukiel nr 1, nazwany dla krótkości w dalszym tekście „stroną odstępującą”, przeniósł na nowo nabywającego, tj. na swojego zięcia. Zaznaczano, że dzieje się to dobrowolnie, bez jakiegokolwiek przymusu, omyłki, namowy albo błędu, dodano na żądanie dr. Plicha, że odstępująca strona niczego z odstąpionych praw dla siebie nie zatrzymuje, nie zachowuje i nie pozostawia, przy czym dr Langsam młodszy nastawał na uzupełnienie tego ustępu słowami „ani pozostawić nie chce”. Naturalnie nie przeoczono, że przeniesienie to następuje zarówno w imieniu własnym, jak i w imieniu już urodzonych, ewentualnie w przyszłości urodzić się mających spadkobierców.

Wreszcie rozstrzygnęli członkowie adwokackiego synhedrionu wszystkie nasuwające się wątpliwości, wprawdzie nie zgodnie, lecz głośniejszym krzykiem. Kiedy mecenas Sokół zaczął dyktować ustęp 56a ugody, orzekający, że strony zrzekają się prawa nastawiania na ważność umowy, gratulowano tymże stronom tak, jak gdyby co najmniej zakończony został właśnie spór Gminy Chrześcijańskiej z Länderbankiem, najdawniejszy z procesów, które toczyły się wówczas w drobhobyckim sądzie.

Zdawało się, że dobrze nabytym prawom Jukla nie grozi już odtąd żadne niebezpieczeństwo. Ale życie chciało inaczej. Zepsuci złym przykładem protokolanci i młodzi koncypieni domagali się coraz cierpliwiej od Jukla papierosów i stempli, panienki kancelaryjne marszczyły noski, wybierając precle, i pytały, dlaczego „pan Jukiel” nie ma także cukierków, a gdy on odpowiadał zawsze to samo, że „prowadzi” tylko precle, zbiegano coraz częściej na parter, gdzie stał Jukiel nr 2. Dźwigał już dwa kosze, gdyż w jednym nie mógł pomieścić wszystkich towarów, które teraz sprzedawał.